



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 27 lutego 1955 r.

Nr 9 (257) Rok VI

KAMILA JEDLEWSKA

O REFORMĘ PISOWNI

Do Redakcji „Nowej Kultury”

Chciałabym na łamach Waszego pisma poruszyć pewną sprawę kulturalną dużej wagi, która nam, nauczycielom-polonistom, szczególnie leży na sercu, a jest nie mniej ważna dla ogółu. Wasze pismo ma szczęście poruszać skutecznie w dobrej chwili różne zagadnienia, które dojrzały do załatwienia a mimo to leżą odłogiem. Może i tym razem zechcecie być bodźcem w ważnej sprawie reformy naszej ortografii, o którą się upominam.

Głosy nauczycielskie są głosami wołającego na puszczy. „Nowa Kultura” ma więcej szans, żeby postawić przed opinią publiczną sprawę istotnie ważną i nie cierpiącą zwłoki.

Jest, istnieje taka wyodrębniona dziedzina naszego życia, taki zapomniany kącik, do którego nie dotarła dotąd rewolucja, takie tabu, którego nie zdołało naruszyć nasze bujne, nowe życie. Jest to nasza pisownia, która nie poddała się działaniu zwycięskiej rewolucji społecznej, kulturalnej, naukowej.

Przyznam się, że spodziewaliśmy się przez kilka pierwszych lat po wyzwoleniu, iż przy ogólnej rewizji pojęć przyjdzie kolej także na pisownię. Tak było w Związku Radzieckim po rewolucji, tak powinno być i u nas, nie wskutek naśladownictwa, ale z powodu działania tych samych przyczyn. Po prostu demokracja kultury wymaga, ażeby i pisownia przystosowała się do nowych potrzeb społecznych. Tymczasem nasza pisownia jest dla klerków. Wiemy wszyscy, że ostatnia reforma ortograficzna z roku 1936 wprowadziła mało ułatwień a wiele komplikacji i dlatego jest w dużej mierze odpowiedzialna za obecny stan ortografii.

O ile jednak przed wojną sprawa ta była mniej rażąca ze względu na elitarny charakter wykształcenia, o tyle dziś, w Państwie Ludowym, trudna i niedostępna pisownia nie da się utrzymać.

Nieumiejętność poprawnego pisania bywa przeszkodą do awansu społecznego, do dobrego wypełniania pracy zawodowej w różnych dziedzinach życia. Znam wypadki zwalniania z pracy z powodu złej pisowni. Jak mówią ośmieszaniu skądinąd wartościowych ludzi dlatego, że będąc na odpowiedzialnych stanowiskach piszą nieortograficznie.

Czy poprawność pisowni powinna być sprawdzianem poziomu kulturalnego człowieka? Sądzę, że w pewnym stopniu tak. Oczywiście — nie pozwalając sobie na nadmierny pedantyzm, nie możemy równocześnie lekceważyć tego kryterium jako miernika stopnia kultury i wykształcenia, zwłaszcza w chwili, gdy zła pisownia przybiera rozmiały kłeski kulturalnej; gdy źle piszą już nie tylko ludzie ze średnim, ale i z wyższym wykształceniem, i nie tylko technicy i lekarze, ale pisarze, korektorzy, nauczyciele. A więc czegoż się jeszcze możemy spodziewać? Kto nauczy pisać innych, skoro wiele osób do tego powołanych tej sztuki czarodziejskiej nie posiada.

Myślę tu o błędach „grubszych”, mając jednocześnie pełną świadomość, że niewielu ludzi w Polsce jest w zupełnej zgodzie z zasadami pisowni i stosuje np. tę głęboką zasadę, że „na pewno” pisze się inaczej niż „zapewne”.

Strach bierze wkraczać w dziedzinę tak dla laika niedostępną! Nie jestem językoznawcą, ale jestem polonistą. Mam na pewno za mało szacunku dla różnych odległych historycznych przyczyn i przestarzałych praw zwyczajowych, które komplikują naszą pisownię.

Niemniej, nie upominam się bynajmniej o odrzucenie wszelkich względów historycznych i etymologicznych; mam postulaty skromniejsze, wynikające z praktyki nauczycielskiej i obserwacji wyników nauczania na różnych stopniach wykształcenia i wieku. Proces nauczania pisowni jest męczący dla nauczyciela i ucznia, zwłaszcza na poziomie licealnym i wśród dorosłych o różnych stopniach wykształcenia.

Nauka ortografii w założeniu powinna być zakończona w szkole podstawowej. Zgodnie z programem jest tam rozbudowana i odbywa się równocześnie z nauką pisania, układania zdań i wyrażania myśli. Jej celem jest stworzyć dobre nawyki. Cel ten jednak bywa rzadko osiąganym dlatego, że nasza pisownia jest sama w sobie za trudna.

Tragedia zaczyna się dopiero później: w szkole średniej, w zakładach pracy, na kursach dla dorosłych, na uniwersytetach, gdzie kradnie się drogi czas przeznaczony na inne cele — na żmudną naukę pisowni. Delikwenci mają już złe nawyki i niechęć do nauki pisowni gdyż dostrzegają i dostrzają umysły interesujące inne zagadnienia: naukowe, zawodowe, polityczne. I trudno im się dziwić. A barbarzyńska pisownia krwawi się bujnie, narasta... jednych przeraża, drugich zubożnia i ubozwładnia. Osromna strata czasu, energii i pieniędzy zużyta na walkę z błędami przynosi zbyt nędzne rezultaty.

wadzać sztucznych i skomplikowanych niuansów gramatycznych, niezrozumiałych nawet dla wykształconego ogółu, a co dopiero dla samouków.

III. Z kryteriów ortograficznych należy wykluczyć jako zasadę normatywną — obce pochodzenie wyrazów polskich, gdyż większość ludzi wykształconych nie rozpoznaje obcości często używanych wyrazów.

IV. Należy w znacznie większym stopniu niż kiedykolwiek do-

go w r. 1950—51. Cytując podręcznik, nie zgłaszam oczywiście pretensji do jego autorów.

Na str. 25 spotykamy takie wyjaśnienie ogólne: litery a, e piszemy zasadniczo w wyrazach r o d z i m y c h. W wyrazach zapożyczonych piszemy a, e tylko wtedy, gdy wyrazy te są m o c n o p r z y s w o j o n e, np.: brąz, ład, fladra, pasowy, plądrować, cętka, frezdla, kołoda, przegierz, wędrować.

Na str. 26 czytamy: grupy liter

przyswojone”. W tym wypadku należałoby bez wahania wprowadzić zasadę fonetyczną pisowni zgodnej z wymową i objąć tą zasadą również wyrazy rodzime z nosówkami, których pisownia jest też niekonsekwentna.

Podobna jest historia z pisownią wyrazów z cząstką: gie, ge. Jak wytłumaczyć, że geometria, algebra, tragedia, Genewa pisze się twardo j-ko wyrazy zapożyczone, a megiera, magierka, gienza, gielda

pytanie „jak” i są traktowane jak przysłowki, np.: z lekka, z rzadka, za pan brat, w ogóle.

We wszystkich powyższych wymienionych kategoriach gramatycznych króluje raczej zasada rozdzielności z uwzględnieniem licznych wyjątków. Należałoby raczej zaprowadzić zasadę łącznego pisania z uwzględnieniem pewnych typów wyjątków, a nie wyjątków indywidualnych.

Czymże np. uzasadnić, że „zapewne” piszemy razem, a „na pewno” osobno, że „skądinąd” piszemy razem, a „gdzie indziej” osobno, że partykuły „że”, „li” — razem, a „no”, „to” — osobno, że końcowe części „kolwiek”, „inąd” — razem, a „bądź”, „indziej” — osobno? Jeżeli u źródła tych przypadkowości leżały jakieś racje językowe, to była to czysta kazuistyka. Ja doszukać się jej nie umiem, a ogół piszących nie jest bynajmniej w lepszej sytuacji ode mnie.

Zasady pisowni, jeżeli są zbyt dowolne, kapryśne i nieuzasadnione — rodzą bunt! Na przykład nauczyciel, pośrednik między teorią pisaną a człowiekiem piszącym, myśli sobie: w imię czego mam wiecznie poprawiać te same błędy, obniżać stopień w różnych przedmiotach? czy kultura polska na tym ucierpi, jeżeli przestaniemy celebrować takie przepisy, jak w „Zasadach” na stronie 40: pisownia „stwo”. „W wyrazach zakończonych na stwo piszemy zgodnie z wymową s (nie: z), np.: ubóstwo, mnostwo, niedołęstwo, męstwo, zwycięstwo, łupieżstwo. W wyrazach: ojcostwo, lenistwo, myślistwo, plugaństwo itp. piszemy — stwo (nie: — wstwo).

Literę „w” pisze się przed zakończeniem — stwo tylko w tych wyrazach, które są utworzone od rzeczowników lub czasowników zawierających w końcowej części tematu „w”, np. szewstwo — bo szew, zławstwo — bo: zławca, poznawac, rybolówstwo — bo: łowca, łowic, prawodawstwo — bo: dawca, dawać.

W przypadkach, tych mogłoby być przekonywujące jedynie kryterium fonetyczne, zgodnie z wymową.

Natomiast całkiem zrozumiałe są dla mnie kryteria pisowni łącznej i rozłącznej „nie” i „by”; mimo to, licząc się z potrzebami ogółu, uprościłabym je w kierunku nierozgraniczania przymiotnika i imiesłowu przymiotnego, który przez ogół piszących jest traktowany jako przymiotnik, z czym walczyć trudno, gdyż nie jest to bez racji. Oczywiście też ten rozdział pisowni z wyjątków.

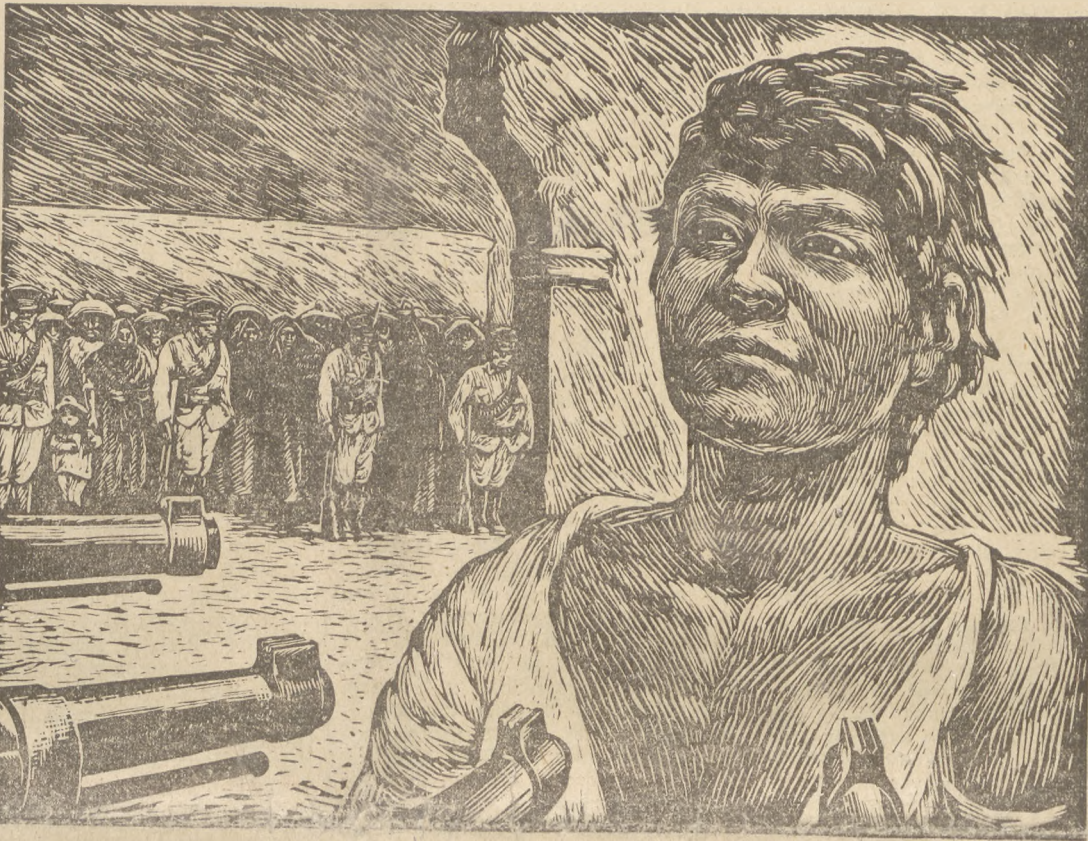
Pisownię łączną cząstki „by” — należałoby rozszerzyć zgodnie z wymową, a w żadnym wypadku nie robić wyjątków tego rodzaju, jak: warto by, można by, trzeba by — gdyż to są właśnie wypadki, których nikt nie napisze osobno (czyli „prawidłowo”), o ile nie należy do „wtajemniczonych”.

Jeżeli jako kryterium ortograficzne bardzo ważne wysuwam poczucie językowe ogółu, czynię to z pełną świadomością, że jest to kryterium ogólnonarodowe a nie indywidualistyczne, przypadkowe, zależne od środowiska i wykształcenia. Naturalnie, że wpływy środowiskowe i względy wykształcenia mają tu wpływ, ale nie decydujący. Ażeby się o tym przekonać, wystarczyłoby rozpaść ankietę między nauczycieli różnych typów szkół dla młodzieży i dla dorosłych z zapytaniem, jakie błędy najczęściej poprawiają w zadaniach uczniów. Jeżeli poda się przy tym, że celem ankiety jest reforma pisowni, wypełnią ją z entuzjazmem. Jeżeli pisownia zbliża oddalila się od potrzeb życia — przestaje być normą, ludzie umiemy nawet pisać poprawnie świadomie nie stosując przepisów ortograficznych i nikt tego za błąd nie uważa. Jako przykład posłużyć może pisownia liter wielkich i małych oraz nazwisk cudzoziemskich. Od roku 1936 nastąpił tak wielki przewrót w wartościowaniu pojęć i powstało tyle nowych pojęć, że stosowanie dużej litery zgodnie z 41 przepisami Zasad okazało się niemożliwe, np. pisownia nazw ras i szczepów, nazw świąt, tytułów utworów literackich i czasopism itd. Także kierunek i zakres wykształcenia zmienił się o tyle, że skomplikowana pisownia nazwisk obcych musiała ulec uproszczeniu pod naporem życia.

Wszystko to, co pisałam do tej pory, uważam za postulaty bardzo skromne i łatwe do zrealizowania. Ja osobiście chętnie widziałabym zmiany dalej idące; będę mówić o nich z pewnym wahaniem, ale i z przekonaniem, że pisownia — pomimo wszystkich naszych zahamowań i oporów nawiąkowych — jest sprawą społeczną, jest dziełem ludzi i jest dla ludzi, a nie jest pomnikiem przeszłości. Naszym obowiązkiem jest...

(Dokończenie na str. 2)

Z wystawy sztuki meksykańskiej w Warszawie



LEOPOLD MENDEZ — ROZSTRZELANIE. linoryt

tań uwzględnić poczucie językowe ludzi wykształconych (szkół średnia). Potrzeby językowe mas wykształconych muszą obecnie o wiele bardziej wpływać na kształtowanie zasad pisowni, niż było to w roku 1936.

Na poparcie moich tez przytoczę parę przykładów z „Zasad pisowni polskiej” St. Jodłowskiego i W. Taszyckiego (Wrocław, Ossolineum), zatwierdzonych do użytku szkolnego.

om, em, on, en piszemy zasadniczo w wyrazach obcych, nie uzupełniając przyswojonych, np.: kombinacja, kompania, kompas, konkurs, emblemat, tendencja.

Jest rzeczą zupełnie pewną, że niewielu osób z wyższym wykształceniem rozumie, że kompas, konkurs są wyrazami „obcymi” niezupełnie przyswojonymi, a wyrazy plądrować, przegierz — są „mocno

pisze się miękko (jak wyrazy rodzime) jako „pewien typ zapożyczeń”. W takich wypadkach bez chwili namysłu należy ujednolicić pisownię zgodnie z wymową.

Z tej samej dziedziny zjawisk możemy uważać za dobry żart reguły, że „w wyrazach zapożyczonych (przeważnie z języka łacińskiego) po spółgłoskach n, r piszemy zwykle s (nie: z) zgodnie z tradycją (choćby nawet niezgodnie z ewentualną regionalną wymową: nż, r + z), np.: ansa, bransoleta, dyspensa, ekspansja, intensywny, kondensator, konsola, konsul, konsulat, konsylium, ofensywa, sensacja” itp. („Zasady...” str. 35).

Są naturalnie wyjątki na: potwierdzenie reguły, np.: benzyna, cenzura itp.

Jeżeli chodzi o stosowanie kryteriów gramatycznych, należałoby pamiętać o tym, że nie wszystkie zjawiska językowe da się podporządkować schematowi gramatycznemu.

Świadczą o tym chociażby różne sposoby klasyfikacji tych samych zjawisk w podręcznikach autorów piszących w tym samym czasie.

Niejedno z pojęć gramatycznych, które wydaje się językoznawcom typowe, jest dla wykształconego ogółu pojęciem scholastycznym i obcym; takimi są np.: wyrażenie przymkowe, wyrażenie zaimkowe, przymki złożone, zaimki złożone, przymki właściwe, które odgrywają dużą rolę w regulach dotyczących pisania razem i osobno.

Idźmy dalej — jeżeli ktoś nawet rozróżnia teoretycznie te części mowy, to jego wyczucie językowe kłóci się z regułami pisowni, która każe pisać osobno takie wyrażenia przymkowe, jak: na poły, przede wszystkim, na czczo, do cna, na wspanie itd., które to wyrazy w poczuciu językowym odpowiadają na pytania „jak”, więc odgrywają rolę przysłówkową. Wyczucie językowe ogółu okazuje się tu kryterium bardziej decydującym niż wszystkie teorie, a nauczający pisowni nie mają siły na zwalczenie vox populi wyrażającego się w lekceważeniu zasady, że podobne wyrażenia pisze się „zasadniczo rozdzielnie”. Trzeba dodać, że zasada ta jest podważana przez wielką liczbę wyjątków, np.: naprawdę, nadzwyczaj, naocznie, zazwyczaj itp. Wyjątki te — to następstwo na rzecz zdrowego rozsądku, ale niestety następstwo niekonsekwentne, nie na całej linii. Nie ma żadnych podstaw do pielęgnowania nadal odrębności wyrazów, które dziś nie są już tworami językowymi żywymi, jak: wspanie, czczo, cna, mgnięcie itd., wzgl. innych tzw. wyrazów przymkowych, które w poczuciu językowym ogółu tworzą logiczną całość, odpowiadającą na



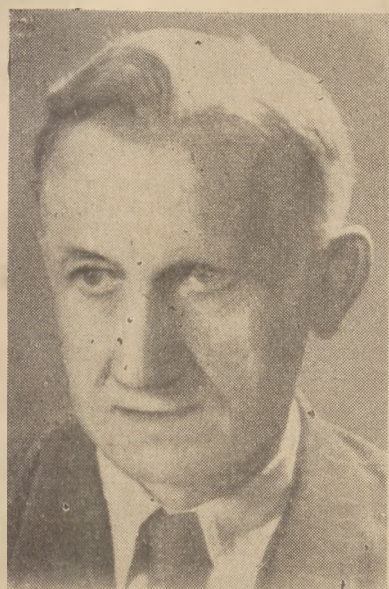
W odbudowanym gmachu Filharmonii Narodowej rozpoczął się V Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina

Foto Wł. Sławny

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

ALOJZY ŚLIWA:



Nie spodziewajcie się usłyszeć ode mnie jakichś nadzwyczajności, ponieważ jestem człowiekiem prostym, niewykształconym, gdyż naukę pobierałem tylko w małej wiejskiej szkole powszechnej i to wyłącznie w języku niemieckim, bo wówczas na Warmii i Mazurach polskich szkół nie było. Dalszą wiedzę zdobywałem w trudnej pracy nad sobą. Lecz pomimo tego, nie tylko że nauczyłem się włączyć biele językiem polskim, ale wbrew wszelkim atakom hakaty, pozostałem Polakiem, zawsze wiernym Ojczyźnie. Cała moja młodość, począwszy od ławy szkolnej aż do plebiscytu, była jedną nieprzerwaną walką o utrzymanie polskiego ducha, tak mojego, jak i moich braci Warmiaków.

Urodziłem się w roku 1885 we wsi Skajboty powiatu olsztyńskiego, w chacie drewnianej pod sio-

mianą strzechą, jako syn małorolnego chłopca. Mój dom rodzinny był w całej pełni twierdzą polskości. Rozbrzmiewał w nim wyłącznie język polski, gdyż rodzice moi języka niemieckiego wcale nie znali. Na straży polskiego ducha stała cięgle „Gazeta Olsztyńska”, którą uzupełniały kalendarze i książki polskie.

Z językiem niemieckim spotkałem się po raz pierwszy dopiero w szkole. Była to trudna i mozolna praca, zwłaszcza przy składaniu poszczególnych słów i zdań oraz rozumienia ich znaczenia. Istniał surowy zakaz używania języka polskiego podczas przerw oraz w drodze do i ze szkoły. Kogo przydybało na rozmowie polskiej, ten musiał pisywać dziesiątki a nawet setki razy: „Ich soll nicht polnisch sprechen”, a gdy to nie skutkowało, był bity. Ileż to razy mnie to spotykało! Lecz pomimo tych kar, z przekroczeniem progu szkolnego, milki już i język niemiecki. Usiłowano wszelkimi środkami pozabawić nas języka ojczystego, a szczególnie uwzięto się na tych, którzy w domu czytali „Gazetę Olsztyńską”, obawiając się szluznie, że mogą przez nią być straceni dla „Vaterlandu”.

Toteż gdy nauczyciel mój stwierdził, że w przerwie czytam „Gazetę”, zaczął mi dostarczać regularnie „Allensteiner Volksblatt”, organ partii katolickiej „Centrum”, pismo zwalczające zaciekłe polskości na Warmii. Lecz środek ten, mający mnie zgermanizować, odniósł wręcz przeciwny skutek, gdyż czytając gorliwie owe piśmiśło, już wówczas poznałem obłudną taktykę centrowych polakożerców i z tej nauki korzystałem potem skwapliwie, demaskując i zwalczając w licznych korespondencjach do „Gazety” wrogą antypolską robotę filarów ha-

katy, tak świeckich, jak i duchownych.

Czuając się już w szkole Polakiem, doznawałem wstrętu i oburzenia, gdy musiałem śpiewać: „Ich bin ein Preusse”, lub „Deutschland ueber alles”. Nie z antypatii do języka niemieckiego, lecz dlatego, że kazano mi nazywać się Prusakami.

Jednakże wszystkie te prześladowania, szykany i kary nie zdołały złamać mego ducha, lecz osiągnęły to, że już wówczas, na ławie szkolnej wzbudziły w sercu moim głęboką niechęć do Prusaków i ich kultury, gdyż czulem, że dzieje się nam wielka krzywda.

Po wyuczeniu się rzemiosła krawieckiego i odbyciu służby w wojsku pruskim, gdzie również nie szczędzono mi szykan, wyjechałem do stolicy Niemiec za pracą, biorąc czynny udział w życiu Polonii berlińskiej jako członek kilku organizacji. Oprócz innych funkcji w różnych towarzystwach polskich, piastowałem również przez czas dłuższy urząd sekretarza Tow. Robotników Polskich w dzielnicy Schoeneberg. Byłem również członkiem Polskiego Związku Zawodowego.

Pierwszym wierszem moim była: „Pobudka Wyborcza”, napisana w 1912 r., w której wzywałem Warmiaków do głosowania w wyborach do parlamentu niemieckiego na kandydata polskiego księdza Walentego Barczewskiego, wodza i obrońcę ludu polskiego.

Patrząc na szybki postęp germanizacji wśród Warmiaków, napisałem w roku 1914 również w Berlinie, wiersz: „Do Braci Warmiaków”, w którym nawoływałem do czujności narodowej, zachowywania polskich zwyczajów, ostrzegając przed wrogami i wzywając do walki w obronie ideałów narodowych.

Gdy traktat wersalski „uszczerbił” w roku 1920 Warmię i Mazury plebiscytem, przebywając je-

szcze w Berlinie, zgłosiłem się na tychmiast do Komitetu Mazurskiego, by brać udział w agitacji plebiscytowej na Mazurach. Po odbyciu kursu plebiscytowego w Warszawie, którą wówczas z wielką radością po raz pierwszy oglądałem, wyjechałem na Mazury, gdzie w charakterze kierownika okręgowego, we wsi Dzwierzuty, pow. Szczecyno, mimo nieznośnych szykan, a nawet dotkliwego pobicia, odbyłem całą kampanię plebiscytową.

Po przegranej plebiscycie, ścigany przez żandarmów pruską, schroniłem się w Poznaniu, gdzie byłem współzałożycielem „Towarzystwa byłych pracowników plebiscytowych” i jego sekretarzem. Przebywając w Poznaniu utrzymywałem stałą łączność z Warmią, wzywając braci moich w korespondencjach do „Gazety Olsztyńskiej” do trwania przy polskości, podtrzymując w nich zawsze nadzieję, że ziemia ta kiedyś wróci do Macierzy.

Wyrazem tych uczuć był również „Hymn warmiński - mazurski” napisany w Poznaniu w roku 1925 z okazji pięćciolecia plebiscytu oraz wiersz: „O Warmio moja miła”, stworzony również tamże w roku 1930, w rocznicę dziesięciolecia plebiscytu. W Poznaniu powstał także w roku 1938 wiersz gwarowy: „Gody na Warmii”.

Po przebyciu całej wojny na wyśledzeniu w tzw. „Generalnym Gubernatorstwie”, gdy dzięki bohaterstwu Armii Radzieckiej i z nią sprzymierzonej Armii Polskiej Warmia i Mazury wyrwane zostały z pięć niewoli pruskiej, wróciłem na tychmiast wraz z rodziną do stron rodzinnych, wprzysięgając się od razu w nurt pracy kulturalnej.

Rozumiejąc, jak wielką wartość dla historii mieć będą wszelkie dowody polskości tych ziem, zająłem się najpierw gorliwie zbieraniem gazet i książek polskich, wygrze-

bując je niejednokrotnie z gruzów i śmieciaków i nie chwając się, uratowałem tych dziś „białych kraków” wcale okazałą ilość. I dziś jeszcze korzystam z każdej okazji, by ich liczbę pomnożyć.

W wierszach i innych utworach moich, powstałych w okresie dziesięciolecia, jak i w wystęпах autorskich - literackich, przy spotkaniach z ludnością, staram się pogłębiać poczucie polskości, wśród ludności miejscowego pochodzenia, przytłumione długoletnią niewolą, szerzyć kulturę polską i oddziaływać w kierunku zjednoczenia i zgodnej współpracy obu stron, gdyż jeden jest lud polski. Pracę tę uważam za najaktualniejszą i najważniejszą misję moją w czasie obecnym, toteż wspólnie z miejscowymi kolegami po piórze, realizować ją będę, zależnie od możliwości i sił moich, w tym przekonaniu, że do brze służę Polsce Ludowej.

Wyrosłem z ludu, pracy dla niego poświęciłem młodość moją i resztę dni moich temu ludowi poświęcam, bo go ukochałem. Oto hasło moje na polu pracy literackiej, które mną wciąż kieruje.

Część wierszy naszych, tj. pisarzy Warmii i Mazur doczekała się w grudniu 1953 roku wydania książkowego. Książka ta, ozdobna w piękną szatę graficzną, nie tylko pomnaża skromną jeszcze ilość dzieł o ziemiach naszych, lecz odgrywa również ważną rolę w pracy naszej kulturalno - społecznej.

Jeżeli już ukazanie się druków tego dzieła było dla nas wielkim wydarzeniem, to wprost oszałamiającym przeżyciem stało się dla nas przyjęcie w styczniu 1953 do Związku Literatów Polskich, kiedy to my, skromni pisarze - samoucy, zostaliśmy zrównani z elitą pisarzy polskich.

Czyż pisać w mrokach niewoli te nasze nieudolne, lecz z czystej miłości do ukochanej Ojczyzny wy-

pływające wiersze, zapomniany i niejednokrotnie niedoceniany, mogliśmy wówczas przypuszczać, że nadejdzie kiedyś dla nas taka chwila, iż dostąpimy takiego zaszczytu? A jednak nadeszła. A dokonać to się mogło jedynie w Polsce Ludowej, która uznaje i ceni wszelki rzetelny wysiłek każdego szarego człowieka pracy.

Toteż za ten wzniosły czyn, przez który otwarły się nam wrota do szerszej działalności, jesteśmy Jej niezmiennie wdzięczni. Będzie on nas pobudzał do tym intensywniejszego pełnienia ciążącego na nas obowiązku. Jednakże wyróżnienia tego, przyjętego z taką radością, nie uważamy za nagrodę, gdyż spełniliśmy tylko nasz obowiązek i to jest naszą jedyną i najważniejszą nagrodą.

Pisałem od wczesnej młodości i pisać będę do kresu dni moich, gdyż w duszy mojej tkwi jakaś siła, która mnie do tego wciąż pobudza. Pisarstwo moje nie daje mi jednak pełnego zadowolenia, gdyż wiem, że jest ono zbyt skromne i nie stoi na wysokości, na której bym je mieć pragnął, a to z braku wyższego wykształcenia. Lecz to już nie moja wina, a raczej epoki, w której się urodziłem, kiedy to dla dziecka chłopca, jakim ja jestem, dostęp do wyższych uczelni był prawie nieosiągalny. Dlatego nieraz z żalem myślę o tym, że gdyby młodość moja przypadła na czas obecny, kiedy to w Polsce Ludowej każde dziecko chłopca i robotnika nawet w najwyższych przybytkach wiedzy kształcić się może, wtedy pisanstwo moje stałoby na pewno na wyższym poziomie i lepiej mogłoby się przysłużyć dobru społecznemu.

Lecz zmienić się to już nie da, dlatego nie zniechęcam się nigdy, lecz piszę jak umiem, w nadziei, że i tak służę dobrej sprawie.

Alojzy Śliwa

ALEKSANDER RYMKIEWICZ

Z cyklu: KRAJOBRAZY I LUDZIE

MOJE JEZIORO

Jezioro moje, jezioro jedyne wśród jezior mazurskich tak wielu, i ty, co wzrosłeś tutaj bez serca, dębie, mój przyjacielu.

Dębie prócz soków w swych piersiach zielonych nie mogłeś niczego mieć więcej, bo obcy człowiek z kamieniem w piersi i twoje serce by zniemczył.

Jezioro moje, poznałeś wówczas niktą cenę milczenia. Wstań pieśni młoda, szum dębie bez serca, bij wodo w serca z kamienia.

POGODNA NOC

Gwiazda sierpniowa spada, a ziemia niby skrzynia, co srebrnym darom rada, w niej się wszystko pomieści, co błyska, co szeleści, co tryska, co płynie: ten bór zwarty, dookoły i osiny liś swawolny, wody pluski o korzenie i nocnych trzcin sto promieni.

I ta skrzynia tym zasobna, czym letnia noc pogodna — jest i miesiąc głęboko w szuwarach, nie w obłoku.

Klony jak co dzień na warcie, wśród nich dom już uspiiony, słychać przez okno otwarte — szczerka kozioł spłoszony.

Stoi pod ciemnym dębem w księżycowej dolinie, zamknięty wiekiem nieba z nami w pogodnej skrzyni.

LUDOWY MOTYW

W październikowym pyle słońca drożdżący dzieńem strąca czerwone grona jarzębiny, u dołu woda przezroczyta owoc czerwony na dnie czystym i znów mazurskie fale płyną.

Jarzębinowy brzeg jesienny — motywy piękne i codzienne, jakby dla wiejskich strof stworzone: ściagała jarzębina soki, a z sokiem ludu ból głęboki i krew ściągająca w swoje grona.

A że ukryte były w ziemi ziarna wygasłych już płomieni, uniosła płomień ten przed lasem. Gdy dzień niezręczny, szronów chłody strąca owoce jej do wody, szepczą: krew zmywam, połam gaszę.

Gdzież bezimienna pieśń ludowa, jedyna z ksiąg — jarzębinowa, która drukarskich rąk nie trudzi?

Ten kto układał ją nad zbożem nie nosił broni, praw nie tworzył — czyżby zabrakło takich ludzi?

Czyżby łyzy tylko dawna dola, opisu warte dawne pola, gdzież nowa pieśń, gdy nowe dzieje? Nie wstanie już. — Za was artysta opiewa waszą wodę czystą i krew, co na dnie czerwienieje.

SPOTKANIE W ORNECIE

czy w czarne zboża płonącej grabieży, w siłę bez trwogi i w beznadziejną trwogę?

I nie powstało w naszych młodych myślach, że się spotkamy po latach w Orniecie. Któż z uczniów wiedział o takim miasteczku, gdzie wiatr poczerwienia szuwar nad rzeczką pod lodem nieba najczystszy na świecie. Dokoła Warmia jeziorna, cienista, pierwszym miłoścom przyjazne gaiki, rankami — wilgi, wieczorem — słowiki. Jasne, bez broni tutaj ziemi wnętrza, niebo nie hutą, lecz liściem się spiętrza, owady w trawach cykają przy wodach — i zda się: w myślach winna być pogoda.

Stąd broń sięgnęła aż po miasto nasze, broń nazbyt krótkie triumfy ogłasza, ziemię po wierzchu ruiną powleka, pustosząc strasznie wnętrze człowieka. Nowych map, nowych wędrówek synowie szlachetne w linii widzimy podcienie na małym rynku, spalone w połowie — czyż zaważyły się same płomienie, stając przed pięknem tylosietletnim, co nie zdołało ludzi uszlachetnić.

Do nowej ziemi pięknego zakątku, nieładny sławy, niechciwy majątku przybyłeś — trudy lekarza w pustkowiu, gdy stąd zaledwie odciągnęły chmury, własnym przemysłem tworzone mikstury dziś anegdota wracają w rozmowie. Lecz wówczas jakież niedostatek wokół, ileż turkotów kół po ścieżkach w mroku — pijacki śpiew przed ciemną wsią wieczorem i martwy bór, bezlistny bór za borem. Za tyle spojrzeń, próśb warmińskich matek w nagrodę dzisiaj ukłon wiejskich czapek tu, skąd sięgnęła broń po naszą młodość.

ZIMOWY KRAJOBRAZ

Zimowe wzgórze, odwiane z wierzchu, wśród zasp ciemnieje przy wiosce ścieżka, gdzie jej początek tam dymy płyną, gdzie ścieżki koniec tam lody sine.

A wyżej siadły wrony na drzewa, śnieżyste pole z niebem się zlewa, miarowo suną nieduże sanie, truchłowi konia dzwonek przydzwania.

Wśród wielu krain drogi się ścielą — aby nie zblądzić wśród dróg tak wielu, truchłom wtórują dzwonki wśród ciszy, krajom wtórują proste opisy.

A każda droga wiedzie do progu. Jak dzwonki progi rozpoznają mogą? Od śnieżnych wieków, ach, po tym właśnie, że powitanie twarze rozjaśnia.

Mróz srebrnym cierniem brzozy okrywa. Mazurska zima ludziom życzliwa — z komendą dzwonek, z krwią tylko nieba, gdy kryć przed bronią dobytka nie trzeba.

W GOSPODZIE

Niewycackana tu natura i ludzie tutaj nie anioły — rozlane piwo plami stoły, policzki zaś — pot i purpura. Jak przed wiekami, leśniczowie uczuła, gardła śmiech rozdziera — owi bez imion prostaczekowie, wzór dla Flamandów, dla Homera.

Rogi jelenie nad bufetem świadczą: tu piękne polowanie. Lecz Diana grotem już nie rani, nie ona mknie tu Chevroletem. Przejrzałe bóstwo jak liść ginie. Mróz, gruda, pole już siwieje. Plją — nie wspomną o bogini, śmieją się — w krąg burzliwe dzieje.

Zda się, w człowieku oto wszystko: gardło, żołądek i wątroba — w gniewie się wadzą o coś z sobą, potem znów godzą się w uścisku. Dłono bezzębne, po dąbrowach, chociaż z nich nikt nie uczi ciebie, sprzyjaj w jesiennych, rześkich łowach, nie bój się, burze nie tkną niebian. I ty się wreszcie zdróż, Homerze, świadom wad ludzkich, dziejów biegu, to nie, że oni nad talerzem ciebie jak Diany nie dostrzegają.

ZBIGNIEW FLORCZAK

RYSUNKI AUTORA

Nauczyciel Colignon

Z powieści „Nadzieja“

Dom, w którym mieszkał Colignon nie należał do serii domków kopalnianych, choć zgodnie stał razem z tamtymi w szeregu i zbierał pył właściwy okolicy. Colignon zajmował pierwszy pokój z korytarza. Lalewicz namacał klamkę i zapomniałszy zapukać, otworzył drzwi, które głośno uderzyły o jakiś sprzęt. Choć światło płonęło, wyglądało na to, że w pokoju nie ma nikogo. Wypowiedział głośno pozdrowienie, ale nikt się nie odezwał. Z powodu niezwykłego nagromadzenia sprzętów właściwie trudno było zorientować się od razu, czy mieszkaniem tego lokalu jest obecnie. W naszym kółku słynny był ten pokój Colignona, brzydki, jakiś piramidalnie i tryumfująco kołtuński — a przecież otaczany przez nas pewną sympatią ze względu na osobę lokatora. Colignon nie miał zresztą nic wspólnego z jego wyglądem.

Mebłe były ogromne, robiły wrażenie pokreślonych reumatyzmem. Bufet składał się wyłącznie ze spiralnie rzeźbionych i ustawionych w kilku kondygnacjach kolumnienek, tak jakby twórcą tego pożytecznego sprzętu chciał za wszelką cenę zataić jego codzienne zastosowanie, a przywołać natomiast wyobrażenie jakiegoś parlamentu, czy giełdy. Bufet wypełniał całą ścianę i nie można go było odemknąć, bo zawadzał o brzuch owalnego stołu na jednej potężnej nodze. Podobne stosunki panowały w każdym kącie pokoju. Można było pomyśleć, że meble wzajemnie się szczykują. Po to, żeby otworzyć okno, trzeba było odsunąć łóżko o poręcz tak wysokiej, jakby była magistrackim parkanem do rozlepienia zarządzeń władz, a nie poręczą. Istotnie Colignon rozwieszał tam skarpetki i bieliznę po kawalerskim praniu. Gdy się odsunęło łóżko, nie było znowuż mowy o uchyleniu drzwi. Aby zrobić trochę miejsca, Colignon wszystkie krzesła obite zielonym pluszem stawił do góry nogami na łóżku. Wówczas zielone frendzle opadały na dół, krzesła ukazywały swoje zżarte od kurzu łona i robiło to taką sensację, jakby grono starych mieszczek, które kiedyś mieszkali w tym pokoju, ułożyło się na łóżku w nieprzystojnych pozach. Wszędzie stały jakieś puffy, inkrustowane stoliki, a na jednym z nich mieściła się nawet brązowa figura nagiej kobiety z lekko uniesionym kolanem. Na okrągłych ramionach i na owym kolanie warstwa brązu zesza, zapewne od ciągłego kontaktu z ludzkimi rękami i przezierała tam żółta blacha — a świadczyło to o tym, że opisane dzieło sztuki było szczerze i czynnie podziwianie przez wszystkich swoich właścicieli. W przeciwnieństwie zresztą do Colignona, który zwykł był wieszać na posągu swój granatowy, spracowany kapelusz. Mimo pokazywanych rozmiań figur, rzucony od drzwi kapelusz zsuwał się na twarz dziewczycy i opierał się rondem dopiero na jej lewej pierś wystawionej (widocznie w tym praktycznym celu) spod fałd draperii. W pokoju panował wieczny mrok mimo obzernego żyrandola, który kołysał się kwaśno nad stołem wydając nieustanny brzęk swoją spódnica skomponowaną z kolorowych paciorków. Ten żyrandol o pozorach obrażonej baby (może było to jakieś materialne wcielenie ciotki Charlotty z Charleroi, od której wszystkie te meble pochodziły, a która, jak wiadomo, ekskomunikowała Colignona za bolszewizm) ujmował naturalnie przestrzeń, której i tak było w pokoju mało. Ciekawe, że Colignon od lat mieszkał w tej graciarni i nie miał dość energii, żeby się od niej uwolnić. Może dlatego, że mało w pokoju przebywał, wciąż go niosło do ludzi, nie potrafił nie dzielić się z ludźmi choćby swoim czasem.

Lalewicz poczuł się zawiedziony, że nikogo nie zastał. Czegoś oczekiwał po tej wizycie, choć nie umiałby odpowiedzieć, czego. Trzy krzesła spoczywały w beznamiętnej złości na łóżku z łapami wystawionymi do sufitu. Na stole leżały dwa barwne numery francuskiego magazynu dla kobiet „Elle“.

Colignon siedział na drugim końcu stołu i zaczął mówić, ale z takim impetem, że Lalewiczowi wydawało się to aż śmieszne. Zapomniał wytrześć nos, co mu błyszczało u brzozy zaczerwienionych nozdrzy — i Lalewicz, jak zazwyczaj bywa, złośliwie obserwował te objawy kataru u Colignona, a nie słuchał jego słów. Może też i co innego złożyło się na nieuwagę Lalewicza: miał uparte wrażenie, że jeżeli tu przyszedł, to Belg powinien być cały na jego usług, a tymczasem Colignon był wyraźnie zajęty sobą, zachowywał się tak, jakby gonili go jakieś myśli, czy on za nimi gonili. Gość słuchał nadąsany i nie bardzo rozumiał. Colignon pstrykał palcami w leżące na stole żurnale, albo brał je nerwowo w palec. Niezwykły był u niego ten pośpiech w wyrzucaniu myśli, nawet w artykulacji słów.

— Kobię tygodniki — mówił. — Czytuję pan to? Nie, nie czytuje pan. Ja też... ale co chciałem panu powiedzieć? Proszę, taki sobie magazyn „Elle“, ani się to umywa do luksusowych wydawnictw, jak „Silhouette“, czy „Vogue“. Tak, to dla chudszych kleszeń! Dla robotnic, stenografistek, midinetek. Dla tej drobnej plótki babskiej. A wie pan, ile rocznie się tego pisma?

— Co pana te pisma obchodzą? — spytał arogancko Lalewicz. — Siedział pan pod ścianą, a teraz o pismach...

Colignon zrobił minę, jakby się obraził. Zachmurzył się, poprawił okulary. „Lepiej byś wytarł nos“ — powiedział mu w myśli Lalewicz.

— To są ważne, społeczne sprawy! — wykrzyknął Colignon. — Pan jako człowiek świadomy...

— Co z tego? — Lalewicz wciąż nie miał zamiaru być delikatnym. — Co z tego? — Na czole Colignona ukazał się jakby blask odkrycia, zapowiedź niezbitego argumentu. Ale zaczął jak przed tym: — Wie pan, jak to się rozchodzi? „Marie - France“, un machin de la mème valeur... (stuknął w zeszyt „Elle“) ma nakład wysokości 400 tysięcy egzemplarzy co tydzień. Co pan mówi? A inne świństwa, np. „Le Petit Echo de la mode“, mają jeszcze więcej. I rób pan, co chcesz! Spróbuj pan temu przeciwstawić

swój bolszewizm, swoje meetingi, walkę o pokój — et tout les bazars, si vous voulez!

Lalewicz wzruszył ramionami, co zostało zaraz spostrzeżone przez Belga. — Mówi się, że kapitalizm jest w defensywie. Niech pan sobie obejrzy te pisma! To są cuda defensywy, słowo honoru!

I zaraz po wypowiedzeniu tego, rysy Colignona zmiały, posunął dłoń po stole w kierunku Lalewicza jakby chciał go pogłaskać.

— Pan nic nie rozumie? No tak, jestem wariat. Ale ja to panu zaraz wytłumaczę, miałem nawet przed chwilą... wtedy, gdy siedziałem pod ścianą — wtrącił z zawstyżeniem — trafne określenie tego wszystkiego.

— Ale czego? — padło pytanie Lalewicza. Lalewicz czuł się coraz bardziej obco, nieufnie — może w związku z tym, że już zdołał wytrzeźwieć. Colignon — odwrotnie — rozczarował się coraz bardziej i ku czemuś zmierzał.

— W tej wojnie — mruknął — nie używano gazów, np. gazów łzawiących. A to są gazy łzawiące, gazy rozluźniające nerwy.

— To ma być to trafne określenie?

— Nie, nie. Chociaż czemu nie? Reakcja walczy środkami narkotycznymi. Kobieta, kwiat, najprędzej od tego ginie. Nie zaprzecz pan, że kobieta może spełniać wśród nas rolę kwiatu. Otóż niech pan spojrzy... (poślinił palec i zaczął przewracać kartki) 100 modeli sukienek, tzw. haute couture. Ponieważ będzie to oglądać robotnica, więc warto zauważyć, że musiałyby za nią płać sześć zarobków miesięcznych. Allons-y! Ma pan następną stronę: tzw. wielki romans przeżyty, a więc pisany w pierwszej osobie. Tytuł: „Aż do grobu“. Taki tytuł, co! Mogę zaraz opowiedzieć, o co chodził, czytałem to przed chwilą, miałem dużo czasu... Dzielna robotnica wpada w oko młodemu właścicielowi fabryki, w której pracuje. Żeby panu lepiej zobrazować — mogła to być np. robotnica z fabryki Renault, która nie wystoi przy prasie dłużej niż pół roku bez cierpień brzucha, nie było wypadku!...

Albo jedna z dziewcząt od Boule i Pinateł, które zarabiają od 15 do 35 franków francuskich na godzinę, to znaczy przez dzień mają dwa chleby... Albo dziewczyna z fabryki tekstylnych w Lille, która wstaje w nocy o pół do trzeciej, a wieczorem ma tyle czasu, żeby ściągnąć pończochy wciągając pod koc... One tam chłopców ścisną przez sen, bo nie ma czasu!... Teraz pan sobie wyobraź sobie... powieści!... Otóż w wyniku nadzwyczajnej miłości pobierała się. Jak pisze autorka — on ją podnosi do swego poziomu, tzn. kupuje śliczny samochód i toalety w rodzaju tych tutaj. Jedźmy dalej... (przewrócił stronę) Rubryka wróżb pt. „Twój los jest w gwiazdach“. Horoskop na przyszłe lata do roku 1968 — nie wiadomo czemu! — hi, hi, hi! (Colignon zaczął się śmiać nerwowo, z przesadnymi oznakami uciechy) — czy pan zdoła zrozumieć, dlaczego akurat do tego roku? — horoskop na wszystkie dni tygodnia, rubryczka pt. „Ogród dusz“, względnie „Kurier miłosny“. A tu nagle z boku skromniutki, petirowe „rozmaitości“. Artykuł o kryzysie mieszkaniowym kończy się dobroduszną informacją UNESCO: „Trzy czwarte ludności świata ma niedostateczne pomieszczenia i źle odżywianie“. Co ma znaczyć: wy

wszyscy, którzy nie dojadacie i gnieździecie się po sześcioro i ośmiu w jednej mansardzie — nie robicie takiego krzyku, bo macie zaszczyt podzielać ten los z trzema czwartymi ludności świata. Bardzo ładne... Vous autres, les miserables, taisez — vous! Tutaj ma pan znowu spódnice, biusthalter, majtki — wszystko w zdziękach kolorowych — a tutaj możemy obaj, załóżmy, że jesteśmy małe stenosis — dactilos — przy pomocy tych pysznych fotosów znaleźć się na bankiecie u przemysłowca X i dołączyć się do tej tu grupy, gdzie emabluję damy ten młodzieniec z fryzowaną czupryną, albo tutaj, gdzie ów grubas rozlewa na kolana swojej sąsiadki „Chablis“ z 1885 roku, albo tutaj... No, teraz pan rozumie!...

Colignon wyglądał tak, że Lalewicz zapytał: — Nie. Ale chyba mnie za to nie zbijeć, kolego Colignon?

— A czy rozumie pan — spytał Colignon — co to jest ucieczka? Lalewiczem zatrzęsło. „Skąd on wie... ten ciemniak walloński!“ Colignon, uśmiechając się z powagą, powtórzył: — Ucieczka.

Nauczyciel zmarszczył brwi. — Nie rozumiem aluzji. Może była tu panna Miłko i... — Panna Małgosia? Ona przed chwilą pojechała.

Lalewicz poszukał ręką oparcia, namacał stół. „Kiedy — myślał z ogromną, śmiertelną szybkością, jakby przelatując samolotem nad obcymi i znajomymi miastami. — Kiedy ona — Małgosia — mogła pojechać? Ona — Małgosia — i w tej serii pośpiesznych skojarzeń wdało mu się, że Małgosia to kwiat, o którym mówił Colignon, ale ten kwiat stracono z samolotu i leci na dół. Co robić?...

Przyszło mu do głowy, że jeszcze nie zupełnie wytrzeźwiał. Słyszał, że Colignon powoli tłumaczy: — Miałem na myśli, że to się nazywa podpowiedzieć wrogowi klasowemu ucieczkę z frontu. Narkoza, nowa technika gazu, którego w sensie fizycznym nie stosowano na wojnie. Voilà. Pan jest zmęczony? Lalewicz postanowił ukryć swoją słabość wprowadzając w zakłopotanie przyglądającego mu się Belga: — To pańska żona zostawiła te magazyny?

— Tak... Zapomniała zabrać. — Pańska żona jest... Znowu obudziła się w Lalewicu potrzeba szczerości i serdeczności. Pojął z czym tu przyszedł. — Panie Colignon... Niech pan powie, co się stało z Małgosią Miłko?

— Pojechała. Pojechała razem z moją żoną. Widziałem także księdza Przeglode. Widocznie wszyscy tym pociągami odjechali... — Ucieczka — rzekł ze smutną złością Lalewicz.

— Pan mówi o mojej żonie? — ożwił się Colignon. — Ona tylko wstąpiła do mnie. Bardzo dobrze, że wstąpiła z tym do mnie. Brakło jej pieniędzy... Pan wie, jak to z forsa — rzucił niby żartobliwie, choć usta miał już białe. — De la gallette ça manque toujours, rien à

faire. — Inaczej nie mogło być. Żona była ekspedientką. Puteł powiedziano jej, że jest dobrze zbudowana i zaproponowano karierę modelki w domu mód. Prezentowała modele sukienek... Także bielizny... Colignon uśmiechnął się, ale gdyby na przykład syknął, albo złamał trzymany w ręku przedmiot, zrobiłoby to mniejsze wrażenie, niż ten uśmiech. — Ja nawet nie bardzo wiedziałem, że zmieniła miejsce... Już ze sobą nie żyliśmy. Gdzież tu jest jej wina, niech pan powie? Manekiny, film i te ilustracje... Romans przeżyty... D'autres saloperies... Wśród takich rzeczy człowiek zacząłby się wstydić własnej skóry, a cóż dopiero... Ce pauvre, petit patelin do Moigneéle. To moja wina, nie ma co. Widzi pan, ja nie umiem ludzi ratować... — zakończył z gorznością. — Ja nam wszystko tutaj — dodał pokazując na czoło — i przez to serce mam oschłe. A to dziecko jest nieszczęśliwe.

Zapadła cisza. Colignon skrobał paznokciem po stole. — Towarzyszu... — rzekł nieswoim głosem Lalewicz — Camarade! Pan umie ratować...

Colignon podniósł oczy i pokreślił głową. — Ja... — Lalewicz nie do końca był zadowolony. Belg poruszył się. Lalewicz już nie mógł powstrzymać swego żalu, usiadł na brzegu łóżka i zwrócił powieki, jakby się bał leż. W miarę tego Colignonowi wracał widocznie spokój. Żrenice patrzyły jasno, palce położył na ramieniu Lalewicza i cofnął je powoli. — Nie wiem, o co chodzi — oświadczył takim tonem, jakby chciał powiedzieć: Wiem doskonale, wiem wszystko.

— Niech pan opowie... — dodał. — Co mam odpowiedzieć? — mruknął najpierw Lalewicz. Wtedy Belg usiadł na przeciwległym końcu łóżka, Lalewicz upewnił się, że ma na sobie jego wciąż to samo, niezmiennie jasne spojrzenie — i zaczął z pokorą, jakiej nigdy nie doświadczał: — Opowiem panu. Przede wszystkim... Samotność już mnie tak dusi... Przekłeta historia.

— Pan kocha Małgosię? — odezwał się Belg. Brzmienie tego głosu znowu kazało nauczycielowi podnieść oczy. Na chudej twarzy Colignona kwitł piękny uśmiech.

— O tym właśnie chcę... — To piękna istota. Ach, jaka piękna. Mam na myśli ją całą — charakter. To musi być wielka rzecz — co? — miłość do takiego człowieka. Co?

— Ona zerwała ze mną. Z przyczyn... — To musi zmieniać człowieka — przerwał znowu Colignon jakby pochłonięty własnym uśmiechem — miłość do takiej Małgosi Miłko. Czy pan się nie zmienił? — zapytał nagle zwracając twarz ku Lalewiczowi.

— Jak to?

— Trzeba było po prostu zmienić się — potwierdził niefrasobliwie Colignon. — Przecież pan nie należy do tych, co stawiają sobie horoskopy z gwiazd, a ona nie czytuje, zdaje się, „Elle“ i „Marie-France“.

— Zmienić się! — krzyknął Lalewicz. — Czyż człowiek jest na śrubkach, żeby mógł jedno wykręcić, a drugie... Co za bzdury.

— A szkoda — westchnął Colignon. — Widzi pan... — Zmienić się — ciągnął Lalewicz jakby dopiero teraz obejmując całe swoje nieszczeście. — Co pan może o tym wiedzieć... Miedzy kobietą a mężczyzną wszystko przelewa się z duszy do duszy, powinno przelewać się... Co jest do zmiany! Brzegi naczyń winny być równe...

— Nieprawda — szepnął Colignon... — Co? — Lalewicz trząsł się ze zdenerwowania.

— Nieprawda, ja się znam na porównaniach — powtórzył szepem gospodarz.

— Mniejsza z tym!... To ona powinna była się zmienić i przyjąć mój pogląd na życie. Tak. Ja jestem grubo starszy od niej, to jest smarkata.

— Przecież pan wie, że to nie ma znaczenia... — I jaką w tym wszystkim gra rolę miłość? Piękna rzecz — jak pan mówi dobrze! Ale właśnie Małgosia nie przynajmniej chyba żadnej roli miłości. Niby mnie kochała, a wystarczało...

Colignon słuchał, przyglądał się każdemu słowu Lalewicza — i miał twarz lekarza, zadowolonego, że spowodował pacjenta do ruchu, co pozwoliło odkryć bolące miejsce.

— Co wystarczało? — Wystarczyło... Wystarczyli Żydek, Nisiołek, te ich wiecie, propaganda, kupa słów — i serce diabła wzięli. Chyba, że zapytamy co to jest serce? Jak to się tam u was, w waszej filozofii...

— Co tu filozofować. Miłość musi być twórczą, życiową. Rozumie pan?

— A pan rozumie?

— Małgosia nie mogła pomsuć życia, które jest jedynie słuszne. Ona już tkwiła w nim, zanim pan się zjawiał.

— Nie, jeszcze parę lat temu, można było jakoś inaczej gadać... Nawet z Małgosią.

— Tak, po wyzwoleniu... Ale to nie były czasy na serio. Ludziom z radości odjęło mowę, porozumiewali się gestami, pocałunkami. Aż zaczęli rozmawiać na serio i okazało się, że są dwa różne języki. Pan z Małgosią nie umiał porozumieć się?

— Nie.

— Ona rozmawiała z panem?

— Nie.

— Czuję się pan nieszczęśliwy? Zapanowało milczenie. Milczenie to nie rozpraszało rozmowy, odwrotnie — jakby ją konserwowało. W pokoju, zda się, przebywały materialnie wszystkie wypowiedziane myśli i można było do nich dowolnie wracać. Lalewicz zaczął z przynębianiem:

— Przecież mówiłem. Prosiłem, żeby pan mi pomógł... Ale ja sam najlepiej wiem o co chodzi. Tak, teraz zorientowałem się. Ja — kolego — może nie jestem człowiekiem taki, jak...

(Dokończenie na str. 6)



W warszawskich kabaretach

„Szpak”

Rozmowa kawiarniana

W naszych warunkach nie można mówić o kabarecie, nie przeprowadzając analogii do teatru satyrycznego. Dlaczego „w naszych warunkach”? Bo w zasadzie kabaret sobie, teatr sobie. Przecież mają one tak inną specyfikę. Ale u nas jest zwyczaj chwaleń przy pomocy kopania. W „Iluzjonie” doskonały numer parodystyczny robi Michnikowski. Chcąc pochwalić Michnikowskiego, mówi się: „Widzieliście Michnikowskiego? Pawłowski zupełnie zero”. Lub: „Byłiscie w kabaretach? „Satyrycy” leżą!”

Czego innego wymagamy od programu kabaretowego, a czego innego od teatralnego. Nie ma to być różnica poziomu artystycznego. Ma być o tym, żeby w „Bristolu” był idealny kabaret, a o kilka ulic dalej idealny teatr satyryczny. Ale musimy zdać sobie sprawę z tego, że choć niektóre numery można by grać zarówno w teatrze jak i w kabarecie — zasada jest inna.

Najważniejszym czynnikiem widowiska jest pomimo wszystko publiczność. Do kabaretu ludzie wybierają się, do teatru idą. W kabarecie odświeżenie ubranego siedzi w małej salce przy stoliku w swoim towarzystwie, które się specjalnie w tym celu skompletowało, podnieconie hulaszczą pora, słowem — postanowiłeś się „wypuścić”. Ten cały nastrój tworzy doskonały podkład do przyjęcia programu.

W teatrze natomiast siedziś na obójnym krześle, jednym ramieniem opierasz się o obcego faceta w swetrze, a drugim o własną żonę. Przybiegłeś w ostatniej chwili prosto z pracy, podczas uwertury żona informuje cię, że ostatni raz w życiu się z tobą umówiła, program się zaczyna, wszystko cię złości, dopiero w miarę trwania przedstawienia dajesz się przebielać — albo nie.

Jest znana występująca rzeczą, że „forlacherzy” (pierwotnie) w teatrze rekrutują się spośród dużych towarzystw, które razem przyszły i kontaktują się ze sobą w czasie spektaklu. Kontakt publiczności między sobą stanowi o „dobrości” lub „złej” czyli „cieplej” lub „zimnej” publiczności, która danego wieczoru się trafiła. Stąd ci sami ludzie, którzy zaśmiewać się będą z tego czy innego dowcipu w kabarecie, nie drgnęliby w teatrze. Rządziej, o znacznie rzadziej odwrotnie.

Kierownik „Szpaka”, Wiktorczyk, który zakosztował obojętne błasków i niedz. obdwoła instytucji, wie dobrze, co gdzie. I dlatego słownie robi programy kabaretowe, zostawiając teatrowi co teatralne.

Oto klasyczny przykład: powódzenie wiersza — nie monologu wierszowanego, jak np. „Zona Waciana”, ale „normalnego” wiersza — w teatrze należy do niezwykle rzadkich wy-

padków. A w kabarecie prosimy o jak najwięcej dobrych wierszy. A „Zielona Gęś”? A występy Królikiewicz z gitarą, stanowiące jeden z gwózdzi „Szpaka”? Kameralność kabaretu i masowość teatru stanowią o ich zupełnej odrębności.

Dlaczego do wszystkiego mówię? Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, które się ostatnio licznie namnożyły. Programy kabaretu oceniam jako programy kabaretu. I jeśli uważam, że nie powinno być różnicy w poziomach artystycznych teatru i kabaretu, to może i powinien być różnica w roli wychowawczej. Program teatru musi być przygotowany z myślą o kilkuset tysiącach widzów. Niektórzy z nich pierwszy raz w życiu stykają się z satyrą sceniczną, z „niełatwymi” widza formą skeczu czy monologu, ze skrótem dekoracyjnym, z groteską. Przy tym teatr satyryczny jest narzędziem propagandy, nie ma czego się wstydić. Nie ma dobrego teatru satyrycznego, który nie jest teatrem politycznym. Choćby nawet dawał większość elementów czysto rozrywkowych.

Program kabaretu służy kilku tysiącom wyrobionych widzów. Byłam po parę razy na każdym programie „Szpaka”. Mam profesjonalnie wprawne oko na publiczność. Tam „dullesy” nie przejdą. Co do kulaka też wątpliwe. Parodie, ostra satyra obyczajowa, tematyka kulturalna, ładna piosenka.

Ala jeśli w Hali Mirowskiej urządzi się impreza dla walki z nudą chuliganów, to czemu kabaret nie ma być imprezą dla walki z nudą porządnego człowieka?

Pod tym też kątem będę oceniała programy „Szpaka”.

Za pierwszym razem przyszedłam w charakterze „szkaka”, ale takie mam usposobienie, że jak mi się coś podoba, to przestaję być szkakalem.

Już prolog pierwszego programu poważnie zachwiał moim szkakalem. Już to przechodzenie wykonawców od stolika koło estrady poprzez scenę z podejmowaną kolejno piosenką było tak zgodne z charakterem kabaretu, tak smaczne, że z przykrością zrobiło mi się przyjemnie. I właściwie tak już pozostało do końca drugiego programu.

„Szpak” ma zaletę rzadką w składanych imprezach. Programy jego są jednolite, nie stanowią przypadkowej mieszanki, ale całości, skomponowaną przez jeden i ten sam smak artystyczny. „Szpak” nosi piętno indywidualności. Podejrzewam Wiktorczyka, że wie czego chce. „Szpak” przy wszystkich swych słabych stronach, do których przejdę z radością, jest imprezą artystyczną.

Pomysł stosowania części retrospektywnej należy uznać do dobrego. U nas jak ktoś wpadnie

na dobry pomysł, to się zaraz mówi z naganą: „To cwaniak!”. Że taki chytry. Może Wiktorczyk i chytry. Ponieważ wiedział, że trudno uzyskać dobry repertuar aktualny na cały program, znalazł taki klucz, żeby się użerać z autorami tylko o połowę.

Bardzo mi nieprzyjemnie, ale w obydwojch programach część pierwsza — retrospektywna i część druga — Gaietyński — tłuła część napisaną przez żywych.

Świetna, lecz trudna, ostra lecz niewątpliwie mało sceniczną satyrę Gaietyńskiego znalazła miejsce, skąd przemawia. Nie do pomysłowości, „masowym” nastroju teatru, nie do zniesienia w normalnym balaganie występów knajpianych „delikatność i intelektualność satyry Gaietyńskiego ma dach nad głową”.

tych tekstów, przy których myślę: „Szkoda, że ja tego nie napisałam!” Nie stać mnie na większą pochwałę. Ktoś ironicznie zawołał na premierze, że autor czytał dużo Czechowa. Moim zdaniem dobrze, że czytał.

Wiktorczyk widocznie czytał dużo Jurandota. Wprawdzie ballada podwórzowa o pojedynku nie zachwyciła mnie, ale „Tragedia personalna” już bardzo zabawna. Czytała klasyków, czytała!

Niestety Żywulka za mało czyta Żywulka. Wprawdzie ballada podwórzowa o pojedynku nie zachwyciła mnie, ale „Tragedia personalna” już bardzo zabawna. Czytała klasyków, czytała!

W ogóle z siedemnastu numerów aktualnych, które widzieliśmy w dwóch programach „Szpaka”, obok „Człowieka z kwiatkiem” uważam

JERZY KLEJNY BAJKA O PŁOCIE

Był raz sobie płot,
ot —
zwykły płot.
Na podstawach tkwił głęboko.
Całkiem ładny.
Cieszył oko
miejskich radnych.

Lecz w tym płocie była dziura
i stąd cała awantura,
ba, dramat.
O tej dziurze poszła zaraz
w świat
fama.

Dziesięciu redaktorów,
pięciu komentatorów,
osiemnastu krytyków,
dwudziestu satyryków —
przyjechało
w lot —
oglądało
płot.

Narobili krzyku —
hurra!
Dziurra w płocie!
W płocie dziurra!
I gadali bardzo długo
lub dłużej:
dziura, dziurę,
dziury, dziurą,
o dziurze.

Znaczy — dziura
lecz w siedmiu przypadkach.
Tak by trwało
może rok
może dwa lata.

Ale mówi opowieść,
że ulicą
szedł człowiek.
Nie rozmawiał
wcale z nikim
tylko spojrzął —
wziął gwóźdźki
potem deskę
wziął
i młot —
zreperował płot.

Dziesięciu redaktorów
pięciu komentatorów,
osiemnastu krytyków,
dwudziestu satyryków...

osłupiało,
chwilę milczało,
aż wreszcie krzyknęło chórem:
„Zlikwidowaliśmy dziurę!”

A z powyższego jest nauka:
nie tylko w płocie
trzeba
dziury szukać.

„Xymenę Pścic” w przedwzrostu wykonaniu Olisy wynieśliśmy ze „Szpaka” i schowaliśmy sobie... Nie umiem dokonać tej metafory, ale kiedy wiek wielkości, to się ma ochotę na używanie niecodziennych słów, w czym nie mam wątpliwości.

Część retrospektywna jest nierówna. Osobną pozycję stanowi tu niesamowity komizm Hanki Bielickiej. Bielicka — Kondrat — Olisa: oni sami się bawią, ale nie u cioci na imieninach. Oto śmieszność bez wygłupów, oto parodia bez błażenstwa.

Pozostali wykonawcy części retrospektywnej z mniejszą pewnością poruszają się na cienkiej granicy, dzielącej je pojęcia. Spróbuję tę granicę zdefiniować: wydaję mi się, że polega ona na prawdopodobieństwie przedstawianej postaci, choćby najbardziej beztrosko widzianej.

Tak czy inaczej zabawa jest świetna, a publiczność ma wykład chwiejących się kłosek, co jest najwyższym wyrazem rozbawienia. My, występujący, wiemy, że „pokładanie się ze śmiechu” nie jest żadną przenośnią. Publiczność musi się kiwać. Znaczy, że się bawi. W „Szpaku” się kiwa.

I wreszcie przechodzę do części aktualnej. Najslabszą, wydaje mi się, stroną tej części są teksty piosenek. Rymy na „że” i „cie” nie mają prawa wstępu na porządną estradę. Ani treść, ani tym mniej forma piosenek nie podoba mi się. Bardzo lubię o miłości, ale już w tej dziedzinie albo dobrze, albo wcale.

O ile „Szpak” ogólnie biorąc z lepszym lub gorszym wynikiem usiłuje ruszyć naprzód, odkrywając, eksperymentując, a w każdym razie w tym kierunku się wytycza, to w dziedzinie tekstów piosenkowych wprost przeciwnie. Ja wiem, że to trudny problem, ale chcielibyśmy choć przyzwoitego poziomu literackiego. Przyczyna tej bolączki wydaje mi się jasna: prawdopodobnie Polskie Radio zażądało od swego kabaretu czegoś, co by usprawiedliwiało ten protektorat.

Zabieram się do numerów czysto satyrycznych, aktualnych. Te mnie najbardziej obchodzą. Savoir-vivre wymaga, żeby w tym miejscu powiedzieć, że się nie będzie wystawiało cenzurę, po czym się te cenzury wystawia. Tak też robię. Muszę zacząć od znakomitego monologu Górskiego „Człowiek z kwiatkiem”. Tak... To jest jeden z

za trwałą pozycję satyryczną „Hamleta na linii” Wiktorczyka.

„Intelekt na eksport” Bystrzyckiej nowy w pomysł, zwarty, gęsto nadziany doskonałymi dowcipami. Ja osobiście jestem tak skrzywny z powodu, że jednym uchem słucham tekstu jako ja, drugim jako publiczność pierwszych ośmiu przedstawień „Szpaka”, a trzecim jako dwudzieste przedstawienie „Szpaka”. Wyłączyłam w tym wypadku niepotrzebne czwarte ucho, przyjmując tekst jako publiczność szerszą. Otóż pierwsze ucho rechało z radości. Drugie też bardzo dobrze się bawiło. Za trzecie ucho nie dałabym głosu.

„Bohaterski Pała” Osęki przedszedłby zapewne nawet przez sito czwartego ucha. Nikt nigdy o to nie prosił, ale w Osęce z radością witam nie tylko satyrę, ale i humorystę. Dobrze, że zaczął pisać teraz, a nie parę lat temu. Nie uszłoby mu to na sucho.

Co do wykonawców, nie będę tu wyrażała otwartych drzwi przy pomocy stwierdzenia, że Kwiatkowska. Kwiatkowska. Wystarczy? Lubie dużo gadać, ale tylko wtedy, kiedy potrzeba. Ale i poza Kwiatkowską, Bielicką, Olszą — który przeżywa w „Szpaku” renesans swego dawnego, pięknego aktorstwa — poza Kondratem, który daje osobny, szlachetny ton temu kabaretowi, cały zespół jest właśnie taki, jaki powinien tu być: mały, lecz bogaty i różnorodny.

Konferansjerka tak Wiktorczyka jak i Rudzkiego jest jak świetna dziewczyna: świeża, kontaktowa i zachęcająca do dalszego ciągu.

Dwa fortepiany, reprezentujące stronę muzyczną, wykazywały piękną sztukę nie przeginania pały. Jest i sentyment, jest i dowcip, jest i w dobrym gatunku zgłizniła.

Jeśli ręka może czuć, to nad „Szpakiem” czuwa ręka fachowca. Nie muszę tutaj wygłaszać pochwały fachowości. Nam wszystkim dostatecznie działa na nerwy rozpowszechniony pogląd, że jeden znajomy kasjer pisze kawalki, to niech się Minkiewicz schowa, a u nas na biurze pracuje Karaś, on by Wiechow pokazał.

Nasz krawiec teatralny mówił o swoim nie fachowym pomocniku: „Zdolności u niego i są, chęć u niego i jest, uszwe u on i uszyje. Ale co z tego? P o t r a f i ć, to on nie umie. P o t r a f i ć — trzeba się nauczyć”.

Stefania Grodzienka

ZA GRANICĄ

„DAS SCHIFF AUF DER DONAU” (Starek na Dunaju) to niegryny przedwzrostu w teatrze rekrutują się spośród dużych towarzystw, które razem przyszły i kontaktują się ze sobą w czasie spektaklu. Kontakt publiczności między sobą stanowi o „dobrości” lub „złej” czyli „cieplej” lub „zimnej” publiczności, która danego wieczoru się trafiła. Stąd ci sami ludzie, którzy zaśmiewać się będą z tego czy innego dowcipu w kabarecie, nie drgnęliby w teatrze. Rządziej, o znacznie rzadziej odwrotnie.

Kierownik „Szpaka”, Wiktorczyk, który zakosztował obojętne błasków i niedz. obdwoła instytucji, wie dobrze, co gdzie. I dlatego słownie robi programy kabaretowe, zostawiając teatrowi co teatralne.

Oto klasyczny przykład: powódzenie wiersza — nie monologu wierszowanego, jak np. „Zona Waciana”, ale „normalnego” wiersza — w teatrze należy do niezwykle rzadkich wy-

jego rozbrzmiewa głos węgierskiej rewolucji i piosenki międzynarodowej. Attila występował niejednokrotnie w swich utworach przeciw faszystom, łącząc się z T. Mannem w jego walce z hitleryzmem. Urodzony 11.IV. 1895 na przedmieściu niedzi buda-peszteńskiej, poeta poznał los proletariatu od czter-nastego roku życia zarabiając na własne utrzymanie. Mając lat siedemnaście zaczął drukować pierwsze utwory, które zyskały sobie niebawem ogromną popularność. Skonczony z własnych siłach gimnazjum, Attila studiował filozofię na uniwersytecie w Szeged, skąd musiał jednak w następstwie represji reakcyjnych przenieść się do Wiednia. W Wiedniu, studiując, zarabiał m. in. na życie jako gawędziarz uliczny. Dzięki poparciu kół literackich udało mu się wreszcie przenieść na Sorbonę w Paryżu. Po powrocie do ojczyzny w 1925 roku, Attila został redaktorem i wydawcą satyrycznego „Ziela”. Wszystkie drzwi były przed nim zamknięte. Nikt nie odważył się drukować jego utworów. Złamał je niedz. niepowodzeniem w społeczeństwie burżuazyjnym. Attila odcierł wreszcie w końcu życie 4 grudnia 1937 r. Był związany z działającą w podziemiu Węgierską Partią Komunistyczną. (a)

SINCLAIR LEWIS zmarł w styczniu 1951 r. na dobowym wygnaniu w Rzymie. W lutym br. przyznał 70 rocznicą urodzin tego wielkiego pisarza amerykańskiego, któremu zachodnia prasa literacka poświęca obecnie wiele wspomnień. Sinclair Lewis pochodził z warstwy mieszczańskiej, która ostro krytykował. Jego dwadzieścia cztery powieści, zdaniami zachodnią — europejską historią literatury, są „prawdziwym” zwierciadłem Ameryki, co spowodowało nienawistne klas posiadających do pisarza. Także w Europie, na do-browym wygnaniu, Sinclair Lewis nie ustawał w

demaskowaniu „raju amerykańskiego”. Syn lekarza ze stanu Minnesota — przeżył to sama drogę co Mark Twain, Walt Whitman i Theodor Dreiser, zajmując się początkowo dziennikarstwem. Dziennikarstwo pozwoliło mu zapoznać się ze środowiskiem wzrastającego w siły kapitalizmu monopolistycznego, które później biczował. Zwrócił na siebie uwagę dopiero piątą z kolei powieścią „Main Street” (Ulica główna, 1920), satyrycznym obrazem małego prowincjonalnego miasta amerykańskiego. W roku 1922 wyszła powieść „Bab-bitt”, której bohater dr Babbitt jest typowym okiem amerykańskiego mieszczaństwa. Postępowa Wy-mowa miały „Martin Arrowsmith” (1925), „Elmer Gantry” (1927), „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Najwyraźniej potępowe tendencje w jego twórczości w ostatnim okresie życia wystąpiły w wydanej w r. 1947 powieści „Kings-blood Royal” (Królewskie krew). Sinclair Lewis należał do tych pisarzy, którzy ostrzegali przed rytykańskimi przedpóźnym faszyzmem. W przeciwnieństwie do F. D. Roosevelta twierdził, że faszizm we-wnętrzu jest „czarną równi-” (1937). „Dodsworth” i in. Sinclair Lewis otrzymał w r. 1930 nagrodę Nobla jako pierwszypisarza amerykańskiego. Naj